

ADRIENNE SHARP



Prawdziwe
wspomnienia *Mali K.*

*Niezwykłe losy polskiej primabaleriny,
która rozkochała w sobie ostatniego cara Rosji*

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

Adrienne Sharp

Prawdziwe wspomnienia Mali K. Fragment

Przełożyła Bożenna Stokłosa



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

Prawdziwe wspomnienia Mali K. Fragment

Spis treści

Paryż, 1971

[A wszystko zaczęło się tak](#)

Talenty członków rodziny były naszymi brylantami, rubinami i perłami

Wszystko było dostosowane do gustu panującego na carskim dworze

Była jego lalką, która ożyła

Mam dwadzieścia jeden lat i moje życie jest skończone

Dusza i umysł, ciało i serce

[Car powinien umrzeć w Rosji](#)

Cesarz i samowładca Wszechrusi

[Berło i jabłko](#)

Moja idylla nie będzie krótka

Czarodziejskie zwierciadło

[Krzesiwo do hubki](#)

Jak żyła arystokracja do rewolucji z 1917 roku

[Zobacz, jak cierpimy](#)

[Życie za cara](#)

Ołowiane żołnierzyki

[Dojdzie do morderstw](#)

Gwardziści śpiewają: „Boże, zachowaj cara!”

Przeróżające nic

[Dzień chwały jest bliski](#)

Podziękowania

MOJEMU OJCU

Paryż, 1971

NAZYWAM SIĘ MATYLDA KRZESIŃSKA. Byłam największą rosyjską baleriną scen cesarskich. Świat, w którym się urodziłam, i życie, do którego byłam przygotowana, już nie istnieją. Należących do tego świata ludzi też już nie ma – jedni umarli, innych zamordowano lub skazano na wygnanie, a jeszcze inni są jak duchy przeszłości. Jestem jednym z takich duchów. Dziś w Związku Radzieckim nie wolno wymieniać mojego nazwiska. Władze wymazały je z historii rosyjskiego teatru. Skończyłam dziewięćdziesiąt dziewięć lat, noszę siatkę na włosach i mam ściągnięte usta, a mimo to nadal się mnie obawiają. U szczytu sławy mierzyłam zaledwie pięć stóp^[1] i nosiłam rozmiar butów trzy; teraz nie mogę już nawet stać ani chodzić. Od pięćdziesięciu lat siedzę z zamkniętymi oczami w swoim paryskim domu i żyję przeszłością, otoczona pamiątkami z dawnych petersburskich czasów. Są wśród nich zdjęcia w odcieniu sepia przedstawiające członków cesarskiej rodziny i mojego syna, kopia ikony Matki Boskiej Częstochowskiej, należąca kiedyś do mojego ojca, jego sygnet z herbem hrabiego Krasińskiego i medal z bluzy munduru gwardii konnej, niegdyś własność mojego męża. Podobnie jak te rzeczy, ja również jestem reliktem przeszłości. Jednak ślady dawnego świata istnieją pogrzebane pod tym dzisiejszym: Pałac Zimowy, Teatr Maryjski, Carskie Sioło, Peterhof.

Widzę tamten świat wyraźniej niż aleje i drzewa za oknem w XVI dzielnicy Paryża. Co miałyby mnie tu interesować? Hipisi w spodniach o psychodelicznych barwach czy rozczochrane długowłose dziewczyny w minispódniczkach? Świat, który znałam, był bardzo okazały. Dwór carski cechowało większe wyrafinowanie niż francuski dwór królewski za panowania Ludwika XIV. Byłam kochanką dwóch wielkich książąt, utrzymanką cara. Ostatniego cara. Nazywał mnie Małą K.

^[1] System miar w carskiej Rosji wyglądał następująco: cal (2,54 cm), werszek (ok. 4,5 m), stopa (ok. 30 cm), arszyn (ok. 71 cm), sążeń (ok. 2 m), wiorsta (ok. 1 km), mila rosyjska (ok. 7 km).

A wszystko zaczęło się tak

OCZAMI WYOBRAŹNI WCIAŻ WIDZĘ cesarską rodzinę Romanowów, ale nie Mikołaja i Aleksandrę, lecz tę z czasów mojej młodości – cara Aleksandra III, jego żonę i dzieci, wśród których był Niki.

– Cesarska rodzina! Cesarska rodzina idzie! – wołaliśmy.

Widzę, jak wychodzą z sali małego szkolnego teatru, gdzie przed prymitywną sceną stały rzędy krzeseł i gdzie właśnie wystąpiliśmy, my, uczniowie; ja w kokieteryjnym pas de deux z baletu Córka źle strzeżona. Zmierzają do wielkiej sali prób na uroczystą kolację.

Działo się to w dniu mojego przedstawienia dyplomowego, 23 marca 1890 roku. Miałam siedemnaście lat. Carowie z dynastii Romanowów byli mecenasami licznych teatrów cesarskich – w samym Petersburgu mogę wymienić Maryjski, Aleksandryjski, Michajłowski, Teatr Baletowy Konserwatorium i Teatr Angielski. Wspierali także artystów występujących na tych scenach i uczniów szkół teatralnych.

Podczas jednej z dorocznych wizyt cara Aleksandra na przedstawieniu dyplomowym mała dziewczynka wymknęła się opiekunkom, podbiegła do niego i pocałowała go w rękę. Ujęty tym monarcha spytał ją, czego sobie życzy. Potrafiła dobrze wykorzystać swoją szansę – umiejętność, którą zawsze podziwiałam, sama nigdy nie przepuszczając okazji – więc powiedziała cichym głosem:

– Zamieszkać w internacie.

– Załatwione – odparł wspaniałomyślnie.

W ten sposób otrzymała miejsce we wspólnej sypialni, a wraz z tym pozycję wyższą niż ta, jaką miały uczennice dochodzące do szkoły, i mogła zadzierać nosa.

Tak, cesarska rodzina zawsze uczestniczyła w uroczystości zakończenia roku szkolnego. Gdy jej członkowie przemierzali szerokie szkolne korytarze, wyglądali znacznie bardziej imponująco niż jakikolwiek królewski pochód, który odgrywaliśmy na scenie. Pierwszy kroczył car, mężczyzna o czole wysokim jak kamienny mur i o potężnym tułowiu, przewyższający wzrostem wszystkich pozostałych, a za nim caryca, równie drobna jak ja.

– A gdzie jest Krzesińska druga?! – zawołał.

Znał moje nazwisko, bo byłem najmłodszą córką wielkiego Feliksa Krzesińskiego, który tańczył przed Romanowami od niemal czterdziestu lat.

Stąd wiedział, kim jestem. Ale dlaczego mnie polubił i kazał do siebie wezwać? Może

dlatego, że byłam scenicznym wcieleniem jego małżonki? Drobnej, o jasnym spojrzeniu i ciemnych, układających się w fale włosach. Pewnie dlatego. Dostrzegł nasze podobieństwo. Odznaczałam się takim samym żywym usposobieniem, jak kiedyś ona. I czy mój świat nie był jej światem w miniaturze? Czy poprzez swe rytuały, hierarchie i kostiumy nie odtwarzał złożonego funkcjonowania dworu Romanowów? Żyłam swoim życiem we własnym uniwersum, ale stopą obutą w baletowy pantofel wkraczałam w to drugie.

W tym dniu, dniu mojego występu dyplomowego, kiedy to otrzymałam pierwszą nagrodę, ciężki tom dzieł zebranych Lermontowa (nigdy go nie przeczytałam, a nawet nie otworzyłam, choć zamierzałam suszyć między kartkami kwiaty!), car kazał dziewczynie, która podczas naszej skromnej kolacji miała siedzieć po jego lewej stronie, przenieść się gdzie indziej i posadził na jej miejscu mnie, a po mojej lewej stronie – Mikołaja.

I powiedział do nas:

– Nie flirtujcie tylko, proszę, zanadto.

Oczywiście przestrzegając nas przed tym, Aleksander III miał na myśli coś wręcz przeciwnego.

Jeśli cara można by porównać do olbrzyma, to Carewicz przypominał fauna – niewysoki, drobnej budowy, o delikatnych policzkach. Dotychczas widywałam go jedynie z daleka. Ale oto byliśmy już prawie dorośli. Wiosną Niki miał zakończyć naukę, a później ukryć chłopięcą delikatność skóry pod zarostem. Tego dnia jego policzki i podbródek były jeszcze odsłonięte, co przydawało rysom łagodności. To dodało mi odwagi, której mogłabym w sobie nie znaleźć, gdyby wyglądał bardziej onieśmielająco. Rozumiałam, że to talent wyniósł mnie na nową, wyższą orbitę, i nie obawiałam się wzlecieć tak wysoko. Jako siedemnastolatka potrafiłam flirtować lepiej niż dwudziestodwuletni Mikołaj. Byłam gotowa zacząć, gdy tylko do mnie przemówi. Wiedziałam przynajmniej tyle, że powinnam poczekać. Dopóki się nie odezwał, szczypałam niezapominajkę wyszytą na mojej sukni, by w ten sposób powstrzymać się przed uszczypnięciem jego.

I co w końcu Carewicz do mnie powiedział? Spoglądał na proste kieliszki z przezroczystego szkła, a nie na mnie, a ja, jestem tego pewna, promieniałam z powodu uwagi okazanej mi przez jego ojca i fizycznej bliskości następcy tronu. Nie byłam piękną. Moje przednie górne zęby pochylały się do wewnątrz i wystawały jak u psa, co pokazywano w karykaturach zamieszczanych w rosyjskich brukowcach, ale miałam w sobie pasję i oczy jak wróżka z bajki. Ludwik XV ukrywał kochanki w rezydencji w Parc-aux-Cerfs. Mnie miano później nazywać wróżką z Parc-aux-Cerfs.

Cóż więc Carewicz powiedział do wróżki, cały czas patrząc w stół? Tylko się nie śmiecie.

– Jestem pewny, że w domu nie pijesz z takich kieliszków – oznajmił.

Nie potrafił z siebie wydusić niczego bardziej interesującego. Kilka miesięcy później zostanie dowódcą Szwadronu Huzarów, zacznie pić i hulać ze swoimi żołnierzami, którzy oduczą go nieśmiałości. Ale ten Niki, powolny i wstydlivy, bardzo mi wszystko utrudniał! Kieliszki? Co miałam mu odpowiedzieć? Przyzwyczajony do kryształów z manufaktury petersburskiej uznał to proste szkło za pokraczne. Sama nigdy nie zwróciłam na coś takiego uwagi, ale udałam, że jest inaczej. Uśmiechając się, pstryknęłam w jeden z nich palcami, aby móc się roześmiać z głuchego dźwięku, jaki wydał. Towarzystwo Romanowów było dla mnie czymś nadzwyczajnym. Przez całe życie starałam się ich naśladować. Dołączyć do nich.

Naszego pierwszego spotkania nie należy uważać za dzieło przypadku. Nastąpiło zgodnie z zamysłem monarchy, jak wszystko w Rosji. Kraj ten był przecież lennem cara i istniał jedynie dla jego przyjemności. My, uczennice szkół działających przy teatrach cesarskich, nie stanowiłyśmy pod tym względem wyjątku. To spośród nas rosyjscy cesarze i wielcy książęta, hrabiowie i oficerowie Gwardii Imperium Rosyjskiego wybierali sobie kochanki, poszukując kobiet o zgrabnych nogach i ładnych twarzach. Jeden z nich opisał nawet balet jako „pokaz pięknych kobiet, klomb, z którego każdy może zrywać kwiaty przyjemności”. Gdy powozami udawałyśmy się ze szkoły do teatru, zwyczajowo towarzyszyli nam jadący na koniach oficerowie. Zagadywali do nas i pytali o imiona, ale opiekunki nie pozwalały nam ich zdradzać, choć miałyśmy na to ochotę. Ta tradycja trwała od dziesięcioleci, zanim jeszcze zbudowano Teatr Maryjski. Uczennice jeździły wówczas powozami na plac Teatralny do dawnego Teatru Wielkiego, gdzie do czasu jego wyburzenia tańczył mój ojciec. Starając się powściągnąć chęć podania swoich imion: Matylda Maria, musiałam zasłaniać usta dłonią.

Izolowano nas wówczas od wszelkich wpływów zewnętrznych i uczniów cesarskich szkół teatralnych, chcąc nas uchronić przed utratą dziewictwa i zarażeniem się syfilisem, który był plagą Petersburga. Dziewczęta zajmowały pierwsze, a chłopcy drugie piętro szkoły. Miały oddzielne dormitoria, klasy szkolne, sale prób i jadalnie. Oczywiście nie zapomniwałyśmy o istnieniu chłopców, bo w czasie lekcji tańca w sali balowej ćwiczyłyśmy z nimi menueta i kadryla. Wtedy z konieczności dotykałyśmy swych partnerów w tańcu, ale nie pozwalano nam patrzeć im w oczy. Nauczycielki bacznie nas obserwowały i zauważywszy śmielsze zachowanie którejś, podbiegały, żeby ją skrzyknąć. Na co dzień ubierałyśmy się śmiesznie skromnie, w sukienki z masą sprzączek, a na nie wkładałyśmy fartuchy. Na nogach nosiłyśmy ciemne pończochy. Nasze stroje do ćwiczeń były

krótszymi, do kolan, wersjami sukienek, w których wychodziłyśmy na dwór. Podszyte futrem płaszcze miały tak ciemne i poważne barwy, że nazywałyśmy je pingwinami. I wyglądałyśmy w nich jak pingwiny, człapiąc po dziedzińcu, jedynym miejscu, gdzie mogliśmy czuć się swobodnie. Ale nie pozwalano nam jeździć na rowerze, grać w piłkę, ślizgać się na ślizgawce ani bawić drewnianymi mieczami przeznaczonymi dla chłopców. Stanowiłyśmy własność Baletu Cesarskiego, dla którego pokaleczone uczennice byłyby bezużyteczne, a wydane na nie pieniądze – zmarnowane. Nauczycielki liczyły nas, para za parą, gdy ustawiałyśmy się w kolejce, aby udać się do jadalni na obiad lub kolację. Mieszkanki internatu spały w jednej wielkiej sypialni, w białej pościeli, przez co ich łóżka wyglądały jak dziecięce trumienki. Przy każdym łóżku stał stolik z ikoną, na którym poza tym znajdował się numer przyporządkowany każdej z nich.

Po co były te numery? Cemu służyło liczenie? Temu, by już nigdy żadnej uczennicy nie przydarzyło się to, co jednej z ich poprzedniczek przed kilku laty. Uciekła z oficerem konnej gwardii, wywołując tym niebywały skandal. Każdego popołudnia wynajdywała jakiś pretekst, by móc stanąć w oknie dormitorium i spoglądać na mężczyznę, który jechał na gniadoszu, a drugiego prowadził, ubrany w biały mundur i srebrzysty hełm. Widok był zbyt wspaniały, by potrafiła zachować wobec niego obojętność. Musiał robić wrażenie, gdyż ulicą Teatralną zwykle poruszały się tylko wielkie staromodne powozy wożące uczennice. To, że ów oficer przechodził przez nikogo niezauważony przez most Aniczkowa i za Teatrem Aleksandryjskim, z pewnością należy włożyć między bajki. I oczywiście w tej bajce jego ukochana jest piękna, bardzo piękna, bo bohaterki tego rodzaju historii zawsze są piękne jak księżniczki.

A więc pewnego popołudnia dziewczyna pożyczyła od pokojówki chustkę – tak, mamy księżniczkę przebraną za chłopkę! – i bocznymi drzwiami wymknęła się z gmachu szkoły, zmierzając ku swej przyszłości, która, mam nadzieję, okazała się świetlana. Od czasu jej ślubu każdej uczennicy, która ukończyła piętnaście lat, wolno było pojechać do domu tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Niestety, ja nie mieszkałam w internacie. Mój ojciec był Zasłużonym Artystą Teatrów Cesarskich, zaproszonym do Petersburga przez Mikołaja I, który uwielbiał oglądać zgromadzonych licznie na scenie tancerzy niemal tak samo, jak nieprzeliczone bagnety na placu apelowym. I Feliks Krzesiński użył swoich wpływów, by oszczędzić mi spartańskiego trybu życia w internacie, tak niepasującego do żywiołowości pracy w rzeczywistym teatrze, gdzie miałyśmy wkrótce zacząć występy. Nie chciał, żeby złamano mojego ducha. Być może popełnił błąd.

Bez względu jednak na to, czy mieszkałyśmy w internacie, czy w domu, pilnie strzeżono

naszego dziewictwa – do dnia ukończenia szkoły, kiedy to wystawiano je na pokaz. Ubrane w sceniczne kostiumy eksponujące szyje, ręce, biusty i nogi, zdobyłyśmy scenę dla przyjemności członków carskiego dworu, tych wszystkich arystokratycznych miłośników baletu, którzy z pokolenia na pokolenie przekazywali swoim najstarszym synom majątki i tytuły, zasiadali w łóżach i pierwszych rzędach parteru Teatrów Cesarskich, żeby mieć najlepszy widok na scenę, i oglądali nas przez lornetki. W antraktach rozmawiali w palarniach o tym, co im się w nas spodobało. My pociągałyśmy ich, a oni nas. Potrzebowałyśmy protektorów, by móc czynić postępy w zawodzie, a marne zarobki oszczędzać dzięki obiadom, prezentom i kwiatom, za które płacili. Poza tym nasze kostiumy udawały dworskie stroje, rozbudzając w nas pragnienie posiadania na własność jedwabów i aksamitów, jakie miałyśmy na sobie przez kilka godzin dziennie. Wzory wyszywane złotą nicią i kolorowe szkiełka imitujące drogie kamienie, które zdobiły suknie, wyzwały chęć zdobycia złota i klejnotów. Wiele uczennic pochodziło z biednych rodzin, których los mógł się odmienić dzięki romansom córek. Och, przecież sama Anna Pawłowa była córką praczki.

Istniała długa tradycja takich związków. Na przykład w XVIII wieku, kiedy każdy rosyjski arystokrata miał w swej wiejskiej posiadłości prywatny teatr i zespół operowy, baletowy oraz orkiestrę, utworzone z uzdolnionych chłopów pańszczyźnianych, hrabia Mikołaj Pietrowicz Szeremietiew wziął za kochankę jedną ze swoich śpiewaczek i potajemnie się z nią ożenił. W moich czasach baletnice były kochankami wielkich książąt – Konstantego Mikołajewicza i Mikołaja Mikołajewicza, stryjów cara Aleksandra III. Syn z pozamałżeńskiego związku tego drugiego z baleriną Cziśłową służył w Lejb-Gwardyjskim Pułku Grenadierów Konnych, a córka poślubiła księcia. Czasami mecenasami żenili się z kochankami wybranymi spośród absolwentek szkół teatralnych i wchodziły one do największych arystokratycznych rodów w Rosji. Za arystokratów wyszły takie XIX-wieczne baleriny jak Kemmerer, Madajewa, Murawjowa, Kancirjewa, Prihunowa, Koszewa, Wasiljewa, Virginia i Sokołowa. To właśnie tego rodzaju możliwość, a nie miłość do sztuki, skłaniała wiele matek do poddania swych pełnych wdzięku córek przeprowadzanemu na ulicy Teatralnej sprawdzianowi talentu. Oczywiście, część z nas pozostała tylko kochankami.

Żony rosyjskich cesarzy dokładały wszelkich starań, żebyśmy cierpiały, możecie być tego pewni, nawet jeśli kochanka należała do dworu i pochodziła z arystokratycznej rodziny. Kiedy zamordowano dziadka Nikiego, cara Aleksandra II, Katarzynie Dołgorukiej, jego drugiej żonie, a wcześniej długoletniej kochance, zakazano udziału

w pogrzebie! Żadna kobieta z dynastii Romanowów nie zapomniała jej lat spędzonych z cesarzem. Niestety, Aleksander II zmarł, zanim zdołał uczynić ją cesarzową i uznać dzieci, które z nią miał. Po niespodziewanej śmierci cara jego dzieci z pierwszego małżeństwa natychmiast zwróciły się przeciwko tej kobiecie. Gdyby mogły, odebrałyby jej tytuł księżnej. A na czym polegała jej wina? Miała siedemnaście lat, gdy spotkała czterdziestosiedmioletniego wówczas cara spacerującego po Ogrodzie Letnim – jego cztery długie aleje prowadziły nad Newę, lipy i klony tworzyły zielone mury filtrujące wycieki rzeki, a płoty z kutego żelaza skutecznie oddzielały bywalców tego miejsca od bezpańskich psów, muzyków w jaskrawych koszulach i wysokich butach, robotników i Żydów. Kto poprosił młodą Katarzynę, by poczekała na niego w odosobnionym pokoju na parterze Pałacu Zimowego? Kto był ojcem jej dzieci? Kto w końcu umieścił ją w tym pałacu? Pochodziła z Dołgorukich, była córką księcia reprezentującego jeden z najstarszych arystokratycznych rodów Rosji, a mimo to kobiety z carskiego dworu uważały ją za intrygantkę, cudzołożnicę i osobę z awansu społecznego. (Wyobraźcie sobie, co powiedziałyby na mój temat!). Była siedemnastoletnią dziewczyną spacerującą po parku na wschód od Pola Marsowego.

Ja też miałam siedemnaście lat. W tygodniu po przedstawieniu dyplomowym przechadzałam się nie po Ogrodzie Letnim, lecz po Newskim Prospekcie, ubrana w swój najlepszy strój i modnie uczesana. Miałam nadzieję spotkać Nikiego podczas wspaniałego popołudniowego spaceru, który rozpoczynał się codziennie po obiedzie, a kończył przed zmierzchem, kiedy zapalano latarnie gazowe, zanim towarzystwo zebrało się wieczorem w salonach, na przyjęciach, kolacjach i balach.

Może słowo o Petersburgu. Ci z nas, którzy mieli szczęście w nim mieszkać, nazywali go po prostu Piter. Miasto jest położone na kilkudziesięciu wyspach rozdzielonych kanałami i rzekami, zwrócone ku Zatoce Fińskiej. Liczne mosty łączą poszczególne jego części: Wyspę Admiralicji z pałacami i teatrami, Wyspę Zajęczą z Twierdzą Pietropawłowską, Wasiljewską z dzielnicą niemiecką i giełdą, Petersburską z drewnianymi domami, które z biegiem lat ustąpiły miejsca secesyjnym rezydencjom, i dzielnicę Wyborską, z koszarami wojskowymi, a później – fabrykami. Niegdyś była to szwedzka twierdza – Nyenskans, newska reduta – która powstała w 1611 roku, lecz gdy w 1703 roku zdobyła ją armia rosyjska, Piotr Wielki postanowił zbudować w tym miejscu nową stolicę Rosji.

Tu stanie miasto, stanie tron
Na złość dufnemu sąsiadowi.
Naturą nam sądzono stąd

Wyrąbać okno na Europę^[2].

W przeciwieństwie do dzieł Lermontowa ten utwór przeczytałam.

W rzeczywistości Piter nie jest ani miastem wschodnim, ani zachodnim, lecz ma cechy jednego i drugiego. Aleje, place, parki, budowle z granitu i marmuru upodabniają go do takich europejskich stolic jak Paryż, ale długie niskie pałace, które odbijają się w wodzie rzek i kanałów nadającej powietrzu świetlistość, czynią go czymś wyjątkowym. Gdy śnię o Pitrze, widzę światło. Owszem, miasto ma zachodni plan urbanistyczny, ale jest wschodnie w swych barwach – ceglastoczerwonej, musztardowożółtej, zielonej jak limonka i chabrowoblękitnej. Na wewnętrznych dziedzińcach, obok wielkich stosów porąbanego drewna, trzymaliśmy, jak chłopci, zwierzęta domowe. Ja również tak robiłam: w 1907 roku na posesji na Wyspie Petersburskiej hodowałam krowę, żeby mieć świeże mleko! Z kolei w prywatnych pokojach, za neoklasycystycznymi granitowymi fasadami i salonami utrzymanymi w bladych barwach i pełnymi złocien, znajdowały się wzorzyste dywany, kosztowne obicia ścienne i zbudowane z czarnych bądź glazurowanych kafli rosyjskie piece, w których paliło się od września do maja. Stały tam także wytworne samowary ze srebra bądź mosiądzu, pełne gorącej herbaty.

Nie mieliśmy czasu w pełni sobie wyjaśnić, co mamy w sobie wschodniego, ponieważ z rozkazu Piotra Wielkiego Petersburg wzniesiono szybko, jak dekoracje teatralne, w ciągu zaledwie pięćdziesięciu lat. Rosjanie powiadają, że car zbudował to miasto w niebie i spuścił je gotowe na ziemię. Ale mówiąc poważnie, nie on je stworzył; to chłopci pańszczyźniani i żołnierze gołymi rękami stawiali fundamenty, nosząc ziemię w połach koszul, i transportowali na place budowy marmur, granit, łupek i piaskowiec. Dwieście tysięcy robotników zmarło z powodu chorób, wyczerpania i zimna, dostarczając materiały budowlane na miejsce i wznosząc przyszłą stolicę kraju. Mówimy, że Petersburg postawiono na ich kościach, i to po nich każdego popołudnia spacerował beau monde tego miasta.

Tak, Petersburg był niegdyś twierdzą, a jeszcze w 1890 roku miastem garnizonowym. Sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy stacjonowało tu w wielkich koszarach na bulwarze Konnogwardyjskim, za maneżem konnej gwardii, na zachodnim krańcu Pola Marsowego, przy Pałacu Zimowym i Ławrze Aleksandra Newskiego, obok kanału Obwodnego czy wreszcie w dzielnicy Wyborskiej. Koloryt nadawały miastu szarozielone mundury grenadierów, białe i srebrzyste uniformy konnej gwardii, karmazynowe huzarów i niebieskie oraz złociste kozaków. Zarówno szeregowi żołnierze, jak i oficerowie nie przebywali tu tylko po to, by ćwiczyć umiejętność walki, lecz także by się w tym mieście zabawić.

Intensywny sezon towarzyski rozpoczynał się w Pitrze w styczniu. Jego najjaśniejsze punkty stanowiło dwanaście balów wydawanych przez cara w Pałacu Zimowym. Służący carskiego dworu ubrani w zielone uniformy, czarne czapki ozdobione piórami i miękkie skórzane rękawiczki doręczali tysiące zaproszeń udekorowanych wizerunkiem złotego dwugłowego orła. W czasie balu wielkie sale Pałacu Zimowego rozświetlało dziesięć tysięcy świec z pszczelego wosku, a upiększały je przycięte drzewa owocowe rosnące w ogromnych donicach, różowe róże, fiołki parmeńskie i białe orchidee w wazonach, przysyłane na północ z ciepłego Krymu w ogrzewanych wagonach, a także owoce z wytłoczoną sylwetką cara.

Na placu przed pałacem stały wtedy setki trojek i karet, możliwie jak najbliżej koksowników, z których buchały w ciemne niebo płomienie wyglądające jak czerwone fontanny. Stangreci mieli ze sobą butelki z gorącą wodą, koce podszyte sobolowym futrem i flaszki wódki, bo nawet ciepłe koce i koksowniki nie wystarczały, żeby się ogrzać. Bale trwały do trzeciej nad ranem i kończyły się odtaniem poloneza. Jeśli w oczekiwaniu na swego pana stangret wypił za dużo i zrobiło mu się tak gorąco, że zdjął palto i zasnął, mógł zamarznąć. Od strony Zatoki Fińskiej plac osłaniał wprawdzie ogromny Pałac Zimowy, ale brak słów, by opisać mróz panujący zimą w Petersburgu. Światło padające z okien ukazywało czarno-biały świat skuty lodem i pokryty śniegiem, którego płatki wirowały w powietrzu, a pośród nich mgiełkę oddechów mężczyzn i koni.

Sezon towarzyski kończył się wraz z nadejściem Wielkiego Postu. Wówczas towarzystwo rozjeżdżało się po kraju, udając się na wyspy położone poza Petersburgiem, na Krym lub do swoich podmoskiewskich posiadłości. Wracało na zakończenie letnich manewrów wojskowych w Krasnym Siole, wiosce pod Petersburgiem, która szczyła się terenem idealnym do odbywania wielkich parad wojskowych, otoczonym wianuszkiem drewnianych willi oficerskich.

Och, cudowny rytm tamtych dni! Po manewrach dwór wyjeżdżał do Europy, ale pod koniec sierpnia znowu rozpoczynały się występy baletu, opery i teatru francuskiego. Publiczność powracała do Petersburga i zajmowała miejsca w niebieskich pluszowych fotelach na parterze i w łóżach, aby oklaskiwać sztukę, którą my, aktorzy, tancerze i muzycy, doskonaliliśmy wyłącznie dla niej. Gdy mieszkałam w Petersburgu, istniało dziewiętnaście dworów: cara, jego matki i siedemnastu wielkich książąt – w sumie kilka tysięcy osób, jeśli uwzględnić wszystkich członków rodu Romanowów i dworzan. I wszyscy oni, a także ambasadorowie, członkowie korpusu dyplomatycznego, żołnierze Gwardii Imperium Rosyjskiego, a okazjonalnie także arystokraci mieszkający na prowincji, w sezonie zasiadali w teatrze co wieczór. Należy pamiętać, że nie było wtedy telewizji, radia i kina, a w zimie dni są w Rosji krótkie i wieczorem pozostaje do wypełnienia wiele

godzin. Teatry Cesarskie wystawiały sztuki teatralne, opery, operetki i balety, a także organizowały koncerty. Wśród spektakli prezentowanych przez Teatr Maryjski znajdowało się aż pięćdziesiąt baletów, w tym czterdzieści tylko dla posiadaczy abonamentów.

Nadzór nad produkcją tych wszystkich rozrywek sprawował dyrektor Teatrów Cesarskich, Iwan Aleksandrowicz Wsiewołożski, arystokrata, którego rodowód sięgał Ruryka i książąt smoleńskich. Natomiast wszystkie pas stworzył dla tego baletu Marius Petipa, francuski tancerz, który w 1847 roku przybył do Petersburga i dzięki swej bezwzględności zajął miejsce dotychczasowego baletmistrza Baletu Cesarskiego, Arthura Saint-Léona. Pomagał mu drugi baletmistrz, Lew Iwanow, który został przyjacielem naszej rodziny. Uwielbiał kuchnię mojego ojca. Rozkładając płócienną serwetkę, mówił: „No to sobie pojemy”. Niestety, nigdy nie zdobył uznania, na jakie zasługiwał, bo był Rosjaninem na dworze, na którym panowało frankofilstwo.

Wsiewołożski faworyzował teatry petersburskie kosztem moskiewskich. Czemu nie? Dwór był przecież tu, nie tam. W Teatrze Maryjskim co wieczór widywało się tych samych widzów. Byliśmy jak członkowie rodziny spoglądający na siebie ponad światłami rampy, a nasze wzajemne kontakty cechowała swoboda, ponieważ miłośnicy baletu zwracali się do nas bez skrępowania. „Ruszaj się, Malu!” – wołali na przykład, albo: „Więcej partii tanecznych dla Tani!”.

Starali się w ten sposób zmobilizować nas do większego poświęcenia czy nakłonić dyrekcję do nagrodzenia czyjegoś wyjątkowego talentu. Oczywiście zdarzały się także gwizdy i syki. Zainteresowanie członków dworu baletem doprowadziło w końcu do tego, że utwory baletowe zaczął komponować wielki Czajkowski, a sztuka tańca rozkwitła.

Gdy stałam się sławna, coraz bardziej opóźniałam powrót na scenę w kolejnych sezonach i ostatecznie tańczyłam tylko w najbardziej prestiżowych miesiącach – grudniu i styczniu – jakbym sama była arystokratką, która właśnie wróciła do Petersburga z podróży po Europie. Ale to dopiero przede mną. Teraz mam siedemnaście lat.

W dniu ukończenia szkoły Aleksander III powiedział do mnie:

– Będiesz chlubą i ozdobą naszego baletu.

Postanowiłam go więc nie zawieść. I tak jak starałam się zdobyć pierwszą pozycję w szkole, tak samo dążyłam do zapewnienia jej sobie w życiu Carewicza. Tego kwietniowego popołudnia tak długo przygotowywałam się do wyjścia z domu, że omal nie pozbawiłam się szansy zobaczenia Mikołaja na promenadzie. Dziś każda dziewczyna ma długie proste włosy z przedziałkiem pośrodku, jak dziecko, ale w 1890 roku nosiłyśmy loki, które powstawały dzięki zwilżeniu włosów posłodzoną wodą, nawinięciu ich na papiloty i pracochłonnemu przypięciu szpilkami na czas schnięcia. Miałam grzywkę, a na

skroniach kosmyki. Tego dnia włożyłam bluzkę z żabotem uszytą z podwójnego kuponu brokatu, spięłam ją broszką pod szyją, a skórę za uszami skropiłam wodą kolońską o zapachu fiołków – w 1890 roku każda woda kolońska pachniała po prostu jednym rodzajem kwiatów. W tym stroju młodej damy – szkolne ubrania już spakowałam – spacerowałam modnym odcinkiem Newskiego Prospektu, gdzie w sklepach można było kupić miękkie francuskie rękawiczki, chińską herbatę i angielskie mydła. Minęłam miejsce, w którym w 1901 roku powstanie Jelisiejewski, luksusowy sklep, gdzie z sufitu zwisały eleganckie żyrandole i można było dostać owoce i orzechy z całego świata. Wreszcie skierowałam się w stronę Fontanki oraz musztardowo-białej fasady pałacu Aniczkowa, w którym podczas pobytu w stolicy mieszkała rodzina Nikiego – w Pałacu Zimowym car Aleksander III przebywał tylko podczas oficjalnych okazji. Członkowie carskiej rodziny żyli wśród nas. Dopiero później Niki, jego żona i dzieci tak dalece wyobcowali się z petersburskiego towarzystwa, że ludzie zapomnieli, jak wyglądają.

Od razu zauważyłam, że Carewicz siedzi na balkonie wraz ze swoją piętnastoletnią siostrą Ksenią. Oczywiście palił. Oboje wychylili się z krzeseł i przez szpary balustrady spoglądali na przechodniów. Zwolniłam kroku, żeby mnie zobaczyli. Niki wypuścił dym z ust i skinął głową w moją stronę. Gdy odwzajemniłam ten gest, skinął ponownie, ale nie wstał i nie podszedł do balustrady. W tej sytuacji mogłam jedynie iść dalej. Tak więc wyglądało nasze drugie spotkanie – nie przyniosło wiele. Wywnioskowałam z niego, że nie pójdzie mi tak łatwo jak Katarzynie Dołgorukiej, której carski kochanek nie kulił się za balustradą balkonu, lecz śmiało zaaranżował ponowne spotkanie z wybranką swego serca w Letnim Ogrodzie, w alejce pod lipami, a pewnego dnia równie śmiało uwiódł ją w pawilonie Babilon w Peterhofie, w piękny lipcowy dzień, kiedy w oddali błyszczała w słońcu Zatoka Fińska, w rozgrzanym powietrzu unosiły się oszałamiające zapachy, a księżniczka ścisnęła w palcach płatki kwiatów.

Nic z tego. Przez następnych kilka tygodni regularnie jeździłam po mieście z naszym rosyjskim woźnicą, ubłagawszy o to ojca. Nie każda rodzina posiadająca powóz mogła sobie pozwolić na stangreta, zwłaszcza rosyjskiego, ubranego w strój zgodny z wielowiekową tradycją. Mężczyzna ten sztywno trzymał cugle w wyciągniętych dłoniach, jak w baletowym port de bras, i krzyczał gardłowym głosem na pojazdy i przechodniów, wśród których torowaliśmy sobie drogę na ulicach Petersburga. Chciałam się nim pochwalić, tak samo jak pragnęłam zwrócić uwagę na siebie, ale równie dobrze mogłam zostać w domu. Bo choć nasza trasa wiodła ulicą Morską, choć spacerowałam po Newskim Prospekcie, oklaskiwałam wyścigi konne na manezu, a nawet w śmiesznym akcie desperacji znowu przeszłam się tam i z powrotem ulicą Karawannową naprzeciwko pałacu Aniczkowa, Carewicz w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Sceną mojego

uwiedzenia nie miał być jednak Petersburg, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałam, ale – zupełnie nieoczekiwanie – letni obóz wojskowy w Krasnym Siole.

Do Krasnego Sioła pod Pitrem, z dala od upału i kurzu stolicy, zjeżdżali na letnie manewry żołnierze Gwardii Imperium Rosyjskiego z Petersburga i dziesiątki pułków z prowincji. Sto trzydzieści tysięcy mężczyzn mieszkało w jasnych płóciennych namiotach rozbitych w pobliżu miejsca wielkiej parady wojskowej, nad Duderhofką i Ligowką. Jakże Romanowowie uwielbiali ich uniformy, trąbki i konie! Pradziadek Nikiego, Mikołaj I, dosłownie płakał na widok tłumu żołnierzy w mundurach. Wzrok przyciągały białe i szkarłatne bluzy mundurowe ze stójką, niebieskie płaszcze i złociste pasy kozaków, szare mundury i wysokie złoczone hełmy grenadierów – każdy pułk miał własne epolety, wstęgi, galony, krzyże, medale, ozdoby i nakrycia głowy. Żołnierze z niektórych pułków kozackich nosili na głowach papachy z wybielonej jagnięcej wełny, inni – z ciemnej owczej. Część oficerów paradowała w przystrojonych piórami i medalionami czapkach z daszkami. Mikołaja II niemal do końca życia bawiły zmiany w umundurowaniu poszczególnych pułków; tu dodał rząd guzików, a tam złoty galon.

Niki miał talent artystyczny. Rysunku i akwareli uczył go Kirył Lemoch, późniejszy kurator w Muzeum Rosyjskim imienia Aleksandra III. Niki lubił rysować pejzaże. Widziałam kilka z nich. Na jednym nie było ludzi, tylko drzewa, pole i rdzawoczerwona droga, błyszcząca w słońcu niczym cegła. Na innym widniała łódź ze zgarbionym mężczyzną w środku, najwyraźniej przed chwilą zepchnięta na wodę przez jego dwóch towarzyszy stojących na brzegu. W porównaniu z widocznym w tle gajem wysokich brzoź wszyscy trzej wydawali się bardzo mali. Były to szkice chłopca uwielbiającego świat natury, w którym car nie prezentuje się jak jakiś gigant, lecz stanowi element większej całości. Ostatecznie Niki porzucił jednak rysowanie i malowanie. Jedynie w swoim notatniku szkicował obrazki przedstawiające otrzymywane prezenty. Można powiedzieć, że w późniejszym życiu to mundury stały się dla niego papierem, na którym rysował.

Wielki pokaz rosyjskiego oręża na rozległej równinie w Krasnym Siole oświetlały promienie lipcowego słońca. Schronienie przed upałem dawały jedynie lasy i wzgórza wyznaczające granice wielkiego porośniętego trawą obszaru, który był sceną precyzyjnie wykonywanego marszu, eleganckich zwrotów i błyskawicznych ruchów szablą czy bagnetem. Przybyła na przegląd wojsk petersburska elita usadowiła się pod drzewami w specjalnie wybudowanych ławkach. Kobiety miały na sobie letnie biele, a wietrzyk poruszał ich kapeluszami i parasolkami przeciwsłonecznymi jak liśćmi na gałęziach buków ponad ich głowami. Ubrani we fraki i cylindry ministrowie dworu stali na wzniesieniu pod płachtami namiotów, podczas gdy cesarska para, wielcy książęta i wielkie

księżne dokonywali inspekcji wojsk. Po jej zakończeniu dołączyli do ministrów, by wraz z nimi przyglądać się rytmicznie maszerującym równiną żołnierzom, którzy dzierżyli wysoko w górze wojskowe sztandary.

Następne dwie wojny, które stoczy Rosja, skończą się dla niej straszliwą klęską i wielu spośród zgromadzonych tu żołnierzy padnie na polach bitew Europy i samej Rosji. Ale w owej chwili nikomu nie przyszłoby to do głowy. Latem 1892 roku w Krasnym Siole ci żołnierze stawali na wielkiej równinie i jak aktorzy odgrywali bitwy, z których żadna nie była przegrana.

Oczywiście sam ten wojenny teatr nie wystarczył. Towarzystwo musiało też otrzymać wieczorną rozrywkę. Dlatego zbudowano tu drewniany teatr w rosyjskim stylu, wielki jak Michajłowski w Petersburgu, z balkonami ozdobionymi zasłonami z pasiastego jedwabiu i falbankami z frędzlami. Graliśmy tu dwa razy w tygodniu w lipcu i w pierwszej połowie sierpnia. Do Krasnego Siola przybywali wtedy wielcy książęta i cesarz z rodziną. Zostawiając za sobą marmurowe pałace miasta, wprowadzali się do uroczych drewnianych willi o płóciennych markizach i szerokich werandach. Wieczorem wszyscy artyści czekali w pogotowiu w oknach teatru wychodzących na specjalne wejście, przeznaczone dla cesarza i członków jego dworu, by powitać przybyłych, gdy wysiadali ze swych trojek i land. Mężczyźni wkładali mundury wojskowe nawet do teatru. W pierwszym rzędzie zasiadali wielcy książęta, w drugim i trzecim podlegli im oficerowie, dalej damy, a za nimi oficerowie niżsi rangą. Umieszczone naprzeciwko siebie łóżka zajmowali natomiast członkowie rodziny cara oraz rodzin dworskich ministrów i wojskowych. Wirując na scenie w tańcu, przeglądałam się jak w lustrze w błyszczących na piersi mężczyzn medalach i ozdobach.

Zawsze po obiedzie wielcy książęta, car i Carewicz zaglądali do teatru, żeby pogawędzić z tancerkami lub obejrzyć próby. Wchodzili też na scenę w przerwie między wieczornymi widowiskami – komedią i baletowym divertissement – chcąc się przywitać ze wszystkimi wykonawcami. Wielka uroda, której ja nie miałam, mogła zdecydować o czymś losie. Tym ciężiej pracowałam na swoją szansę, wykorzystując do tego takie atuty jak śliczne ręce, drobne stopy i umiejętność prowadzenia ożywionej rozmowy. Podobnie jak mój ojciec, zawsze byłam wesoła i potrafiłam rozbawić otoczenie. Wreszcie swoim wdziękiem zwróciłam uwagę Mikołaja. Zaczął szukać mnie wzrokiem na scenie i zatrzymywać się w słońcu, żeby ze mną pogawędzić. Żywo reagował na moje żarty, ukazując w uśmiechu białe zęby, podczas gdy ja starałam się ukryć swoje krzywe. Czasami z zachwytem, że jestem tak blisko niego, dotykałam guzika jego munduru, stawałam en pointe albo też naśladowałam rękami lecącego ptaka.

Niki wydawał się najbardziej beztroski w wesołym towarzystwie, takim jak nasze,

artystów teatru, czy swoich niesfornych kuzynów Michajłowiczów albo oficerów w obozie, z którymi upijał się do nieprzytomności, aż wszyscy zaczęli się bawić w „wilki”. Polegało to na czołganiu się nago po trawie, wyciu i gryzieniu siebie nawzajem, a kończyło się pić na czworakach szampana lub wódki z kadzi, które uczynni służący dźwigali dla ich przyjemności.

Któregoś popołudnia, gdy w pośpiechu wbiegłam na naszą małą scenę, nie chcąc przegapić szansy na rozmowę z Carewiczem przed próbą, wpadłam na ubranego w mundur cesarza.

– Z pewnością masz romans – skomentował dobrodusznie, spojrzawszy na moją zaczerwienioną twarz.

Niestety, mylił się. Chciałabym, żeby tak było! Krótkie chwile, które spędzałam w obozie z Carewiczem, miały dla mnie większe znaczenie niż wieczorne przedstawienia, ale wciąż były wszystkim, na co mogłam liczyć. Jednak nie gawędziłam tylko z Mikołajem. Bo kiedy indziej tylu Romanowów gromadziło się w jednym miejscu, do którego miałam dostęp? Staralam się oczarować każdego utytułowanego mężczyznę – kto wie, do czego będzie mógł mi się przydać w przyszłości? – w tym wielkiego księcia Władimira Aleksandrowicza, jednego z licznych stryjów Nikiego. Władimir – minister odpowiedzialny za Teatry Cesarskie, wielki miłośnik sztuki, był starszym mężczyzną, ale cenną znajomością, jeśli wziąć pod uwagę jego pozycję społeczną. Siadywał u mnie w garderobie, gdy malowałam usta czerwoną szminką. Zawsze mówił tubalnym głosem, a w teatrze wszyscy słyszeli jego komentarze pod adresem tancerzy, które wygłaszał w swej łóży.

– Co?! Co to jest?! Wróbelek?! – krzyknął kiedyś, gdy na scenę weszła chudziutka dziewczyna, by zatańczyć kilka sztywnych kroków.

Kiedy indziej, gdy opadła kurtyna po pierwszym akcie baletu, który mu się nie podobał, zagrzmiał:

– Chodźmy stąd wszyscy!

Władimir uważał, że powinien być carem, a nie wielkim księciem, i zachowywał się jak car, choć kolejność narodzin sprawiła, że władcą został jego brat Aleksander. Żona Władimira, Miechen, druga kobieta w cesarstwie rosyjskim, też zachowywała się jak caryca. Organizowany przez nią doroczny bożonarodzeniowy kiermasz dobroczynny w sali Resursy Szlacheckiej rozpoczął w Petersburgu sezon świąteczny. Matka Nikiego z goryczą nazywała ją cesarzową Władimirową. W 1888 roku mało brakowało, by dzień, w którym wykoleił się pociąg wiozący członków carskiej rodziny – co omal nie skończyło się zmiążdżeniem ich w wagonie restauracyjnym, gdy jedli pudding czekoladowy – stał się dniem triumfu Władimira.

– Taka szansa nigdy się już nie powtórzy – nieostrożnie szepnęła Miechen do swoich przyjaciół na dworze.

W Krasnym Siole Władimir podarował mi swoje zdjęcie i kazał je trzymać w garderobie teatralnej. Tak, członkowie carskiej rodziny dawali swoje wizerunki z dedykacją bliskim im osobom, podobnie jak współcześnie gwiazdy kina ofiarowują je fanom. Na moim Władimir napisał: „Bonjour, duszko”, co miało znaczyć: „Kochanej małej”, i z westchnieniem stwierdził, że jest dla mnie za stary.

Rzeczywiście był dla mnie za stary, w przeciwieństwie do Nikiego. I kiedy już wydawało się, że mój gorący dwutygodniowy flirt z Carewiczem huzarem nie przyniesie pożądanego efektu, nim artyści będą musieli powrócić wynajętym dla nich pociągiem do odległego o trzydzieści wiorst Petersburga, gdy do końca manewrów pozostał tylko tydzień – właśnie wtedy Niki nieoczekiwanie poprosił mnie, żebym poczekała na niego po spektaklu w alei za teatrem. Chciał po kolacji w swej willi zabrać mnie na przejażdżkę trojką. Czy w ogóle musiałam udzielać odpowiedzi?! Mogłam się tylko zastanawiać, jaki jest powód tej nagłej i nietypowej dla Carewicza śmiałości. Zauważyłam, że tego wieczoru obserwuje mnie ze szczególnym zainteresowaniem z cesarskiej łoży, zaprojektowanej w stylu rosyjskiej chłopskiej chaty. Sądziłam, że to ze względu na tiulowy kostium z dwoma wielkimi kwiatami wyhaftowanymi na piersiach. Ale może sprawił to mój taniec, ponieważ tego wieczoru tańczyłam adagio – duet miłosny, w którym czule opierałam dłonie na ramionach partnera, podczas gdy inne dziewczęta naśladowały stado ptaków i ławicę ryb. Pamiętam, że gdy po spektaklu przygotowywałam się w garderobie do spotkania z Carewiczem, na myśl o jego zaproszeniu nie mogłam zawiązać szarfy białej letniej sukienki i poradzić sobie z niesfornymi włosami, które sterczały mi wokół twarzy, przypominając rozwichrzoną perukę doktora Coppeliusa^[3].

Kiedy wyszłam z budynku, na chodniku prowadzącym do teatru nie było nikogo. Większość tancerzy wsiadła już do pociągu jadącego do Petersburga; w opustoszałym teatrze zapanowały ciemności. Krew pulsowała mi w żyłach.

„Co będzie, jeśli się nie zjawi?” – zastanawiałam się.

Musiałabym wówczas udać się do willi, gdzie moja starsza siostra, Julia, także tancerka, bawiła z wizytą u swego kawalera, i płakać jak dziecko, udając, że spóźniłam się na pociąg. Zatrwożona doszłam do alei i stałam tam sama, starając się uwolnić od obaw i kłębiących się we mnie emocji. Czekałam. Widniejącą przede mną piaszczystą drogę spowijał mrok. Wydawała się kompletnie pusta. Do moich uszu docierało tylko bzyczenie owadów z parku i ogrodu za teatrem. Nocne niebo jest w Rosji bardzo rozgwieżdżone, a tu, trzydzieści wiorst od stolicy, wyglądało jak upstrzona gwiazdami kopuła zawieszona nad tą nieurodzajną, trudną do uprawy ziemią.

W końcu usłyszałam dzwonki trojki i ogarnął mnie lęk, ponieważ byłam wystarczająco bystra, żeby zadać sobie pytanie: „Dokąd się właściwie wybieram i jakie będzie to miało konsekwencje?”. Ale nie mogłam i nie chciałam wrócić do teatru. Zobaczyłam powóz z kołyszącymi się latarniami, i Carewicza, którego sylwetkę otaczał ich blask, a może światło gwiazd spadających z nieba pod wpływem tego kołysania, jak świętego na ikonie. Uśmiechając się szeroko, wyciągnął do mnie rękę i pomógł mi wsiąść do trojki. Ruszyliśmy na szaloną przejażdżkę po terenie wojskowej parady, potem przez wieś, opustoszałą jak na mocy carskiego dekretu. Ta wioska i wszystkie miasta Rosji, i sama Rosja, obejmująca jedną szóstą obszaru kuli ziemskiej, należały do Carewicza czy też wkrótce miały należeć do niego jako do nowego cara. Gdy byłam z nim, sama mogłam się czuć jak ich właścicielka. Co mi pokazał tego wieczoru, kiedy wiozł mnie rozległą równiną czy też gdy mnie „porwał”, jak przeczytałam później w jego dzienniku – krajobraz czy siebie?

Nie jest łatwo powozić trojką. Spośród trzech koni tylko środkowy ma założoną uprzęż z cuglami. Kierowanie takim zaprzęgiem wymaga wielkiego wysiłku i wprawy. My, Rosjanie, uwielbiamy szybkość. I Mikołaj zademonstrował mi swoją umiejętność kierowania trojką na tonącym w mroku wojskowym terenie oraz na drodze przez wieś, gdzie musiał pokonać różne przeszkody. Chciał mi zaimponować. Uśmiechał się do mnie, ale przez cały czas uważał na konie i piaszczysty trakt, który w dzień zwilżała woda wylewająca się z beczek wożonych na wozach z Ligowki, a teraz krople wieczornej rosy. Czułam się zbyt onieśmielona, żeby patrzeć na niego jawnie, ale czasami zerkałam ukradkowo. Spośród dzieci Aleksandra III Mikołaj był najprzystojniejszy. Nie miał mopsowatego nosa i wyłupiastych oczu, jak jego siostra Ksenia, ani zapadniętej krowiej twarzy, jak siostra Olga. Żadne zdjęcie nie oddaje harmonii i szlachetności jego rysów. Tych jasnoniebieskich oczu nie dało się zapomnieć. Ale nie służyły mu one jedynie do uwodzenia. Starał się spojrzeniem zgłębić cudzą duszę. Jeśli ja miałam oczy wróżki, on miał oczy boga. A ludzie wierzyli w boskie pochodzenie swych carów.

Ostatecznie nad ranem wylądowałam jednak w willi Alego, kawalera mojej siostry, który mieszkał tu wraz ze swoim przyjacielem, oficerem nazwiskiem Schlitter. Wkroczyłam pod rękę z Carewiczem nie jako młodsza siostrzyczka, becząca, że spóźniła się na pociąg, lecz jako triumfująca Wenus! W pięcioro zjedliśmy wspólny posiłek, śmiejąc się do rozpuku.

Schlitter zrobił smutną minę i zazartował:

– Ani świeczki dla Pana Boga, ani ogarka dla diabła.

W ten sposób skomentował brak u swego boku kobiety, co bardzo mi pochlebiło, bo

w ten sposób pośrednio uznał, że ja i Carewicz stanowimy parę. Przynajmniej przez chwilę.

W pierwszych miesiącach małżeństwa Nikiego z Alicją Heską dowiedziałam się, że ją też zabiera na wieczorne przejażdżki, ale ponieważ była zima, jeździli saniami po Petersburgu i zamarzniętej Newie.

Jaką ja byłabym dla niego żoną? Czy ze mną czekałaby go taka sama przyszłość jak z Alicją? Uwięzienie i śmierć męczennika? Mogę was zapewnić: gdybym to ja była jego małżonką, spotkałby go inny los.

[2] Cyt. za: Aleksander Puszkina, *Jeździec miedziany*. Opowieść petersburska, przeł. z języka ros. Julian Tuwim, wstęp i przypisy Samuel Fiszman, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Warszawa-Kraków 1967, s. 5.

[3] Bohater baletu *Coppélia* czyli *Dziewczyna o szklanych oczach* z 1870 roku (muzyka: L. Delibes, choreografia: A. Saint-Léon).

Talenty członków rodziny były naszymi brylantami, rubinami i perłami

MOJA MATKA dwukrotnie wyszła za mąż. Zanim została żoną po raz pierwszy, przez kilka lat tańczyła w balecie. Należała do corps de ballet, czyli do grupy dziewcząt, które stoją w rzędzie daleko w głębi sceny, do tych „blisko wody”, jak je nazywamy. To tancerki o najniższej pozycji w zespole, które zawsze znajdują się z tyłu, dotykając łopatkami dekoracji, zwykle ukazującej duże jezioro. Moja matka Julia odeszła z teatru, gdy zdecydowała się założyć rodzinę. Kiedy zmarł jej pierwszy mąż nazwiskiem Ledé, poślubiła mojego ojca, Feliksa Krzesińskiego. Była piękna i mogła wyjść za mąż tyle razy, ile chciała, kobieta o okrągłej twarzy i łagodnym spojrzeniu. Na zdjęciu, które trzymam przy łóżku, ma włosy zakręcone w loki, na czole zaczesane do tyłu, a wokół głowy upięty w koronę warkocz. Kochała obu swoich mężów. Z pierwszym miała dziewięcioro dzieci, a z moim ojcem czworo. Ja jestem najmłodsza.

Mój ojciec zasłynął jako wspaniały mazurzysta. Polacy tańczą mazura w dwóch wersjach: szlacheckiej, z eleganckimi ruchami, i chłopskiej, z ciężkim krokiem zamiast cichego suwania stóp po podłodze, z częstym zrywaniem czapek z głów. Tak, pradziadek Nikiego, Mikołaj I, zobaczył mojego ojca tańczącego mazura i zapragnął mieć go dla siebie. Ale na rosyjskich scenach Feliks Krzesiński wykonywał nie tylko swoją specjalność – przez sześćdziesiąt lat tańczył wszystkie główne partie charakterystyczne w naszych baletach. Jego kariera artystyczna trwała trzykrotnie dłużej niż większości tancerzy.

W Balecie Cesarskim kształcono dwa rodzaje tancerzy: klasycznych i charakterystycznych. Teraz oczywiście żaden zespół nie może sobie na to pozwolić. Utrzymuje się zwykle niewielką liczbę tancerzy klasycznych, znacznie poniżej setki, kiedy więc wystawiają duży balet, scena wydaje się pustawa. Ale w tamtych czasach dzięki finansowemu wsparciu cara mieliśmy bardzo wielu tancerzy, zarówno klasycznych, jak i charakterystycznych. Publiczność, w tym sam car, podziwiała jednych i drugich. Czasami na scenie znajdowało się dobrze ponad dwieście osób, a jeśli potrzebowaliśmy jeszcze więcej, car wypożyczał nam żołnierzy z któregoś ze swoich pułków.

Mój ojciec był nie tylko wielkim tancerzem, lecz także wspaniałym aktorem i komikiem. Gdy on i jego przyjaciel Timofiejew Stukołkin w sztuce Robert i Bertrand, czyli dwaj złodzieje tańczyli partie rabusiów, biegali po scenie i gramolili się do kanału dla orkiestry,

publiczność śmiała się do rozpuku.

Już jako małą dziewczynkę ojciec zabierał mnie do dawnego Teatru Wielkiego w Petersburgu, żebym mogła obejrzeć go w tańcu. Od dziecka uwielbiałam teatr i błagałam, by pozwolono mi tam pójść. Jeśli ojciec zostawił mnie w domu, płakałam rozpaczliwie, a gdy mi ulegał, narzekał potem, że po obejrzeniu spektaklu nie mogę w nocy spać. Męczyłam matkę, żeby zamówiła dla mnie u szwaczki strój baletowy, bo chciałam tańczyć i wykonywać rozmaite pozy przed lustrem w naszym pokoju tanecznym, gdzie ojciec dawał lekcje mazura i innych tańców. Czasami tata ustępował i zabierał mnie do teatru.

Pamiętam swoje pierwsze przedstawienie – spektakl popołudniowy. Tak jak obecnie na popołudniówkach, salę wypełniały dzieci ze swoimi opiekunkami i starsze panie wyposażone w lornetki teatralne. Miałam zaszczyt siedzieć w jednej z łóż balkonowych dla artystów, znajdującej się za kulisami, skąd mogłam oglądać nie tylko sztukę, lecz także to, co działo się na scenie w antrakcie, kiedy opadała kurtyna: maszyniści podnosili dotychczasową scenografię i spuszczaali nową, zamiatano i myto podłogę oraz zszywano rozdarte kostiumy.

Tego popołudnia wystawiano Konika Garbuska, w którym ojciec tańczył partię Cara mieszkającego w wyłożonym dywanami namiocie. Dawniej wszystkie nasze balety miały za podstawę francuskie lub niemieckie baśnie, aż kiedyś mój ojciec i jego przyjaciele – spotykający się w sobotnie popołudnia u Stukołkina – zaproponowali ówczesnemu baletmistrzowi Saint-Léonowi, by wykorzystać opowieści rosyjskie. Baletmistrz wzruszył ramionami i wyznał, że żadnej nie zna. Słyszając to, Stukołkin wybiegł z salonu i z półki w pokoju swoich dzieci zdjął książkę z bajkami. Gdy wrócił do pozostałych, odsunął na bok samowar oraz szklanki z herbatą i zaczął głośno czytać baśń Jerszowa Konik Garbusek, a ktoś zdanie po zdaniu tłumaczył ją Saint-Léonowi na francuski. I w ten sposób opowieść o Cud-dziewczynie i głupim Wani stała się baletem. Zainspirowany nią Saint-Léon zaczął brać lekcje rosyjskiego i płynnie nauczył się języka, czego nie można powiedzieć o jego następcy na stanowisku maître de ballet, którym był służalczy Francuz Marius Petipa.

W ten oto sposób gdy tego popołudnia znalazłam się w teatrze, mogłam obejrzeć ojca w roli starego Cara, który pragnie zdobyć Cud-dziewczynę. Jednak gdy każe ją porwać, przekonuje się, że jej nie dostanie. Pod koniec opowieści zwiedziony namiętnością skacze do kadzi z wrzącą wodą, a dziewczyna poślubia głupiego Wanię. Za kilka lat zadebiutuję w tym balecie jako uczestniczka podwodnej zabawy. Pod koniec aktu drugiego Konik Garbusek i Wania nurkują na dno morza, chcąc odnaleźć zaginiony pierścień Cud-dziewczyny, i wśród mieszkańców podwodnych głębin spotkają także mnie. Ale w okresie, o którym teraz opowiadam, miałam dopiero trzy lata i w niemym zachwycie oglądałam,

jak na scenie noc staje się dniem, a wiatr ustępuje miejsca grzmotom za sprawą maszynerii obsługiwanej przez teatralnych techników. Z przejęcia siedziałam cicho jak trusia, toteż po przedstawieniu ojciec zapomniał, że czekam na niego w łoży i poszedł prosto do garderoby, gdzie zmył makijaż, a potem przebrał się i udał do domu na prospekt Litiejny.

– Gdzie Mała?! – spytała go moja matka.

– O mój Boże! Zostawiłem ją tam! – krzyknął i popędził do teatru. Znalazł mnie w łoży ukrytą pod siedzeniem w oczekiwaniu na wieczorny spektakl.

Każdy artysta ma opowieść o pierwszym oczarowaniu dziedziną sztuki, którą uprawia. Taka jest moja.

Po śmierci ojca znalazłam jego oprawiony w skórę dziennik, w którym swym wyraźnym charakterem pisma zanotował nazwiska wszystkich, z którymi tańczył. Na ostatnim miejscu wymienił moje i podkreślił je. Na widok wyrażonej czarnym atramentem oceny rozplakałam się ze wzruszenia, bo znaczyła ona, że ojciec do końca życia był dumny ze mnie jako tancerki, mimo że według niego w życiu prywatnym okryłam się hańbą. Zdawałam sobie sprawę, że oboje rodzice tak właśnie widzą moją sytuację osobistą, podczas gdy dla mnie oznaczała ona wielki triumf. Byli, podobnie jak ich przyjaciele, polskimi katolikami i przed wybuchem rewolucji w 1917 roku żadna z córek ich znajomych nie została niczyją kochanką. Dopiero po wybuchu rewolucji dziewczęta z najlepszych domów chodziły po Petersburgu i sprzedawały się za kostkę mydła. Ale to nastąpi później. Na razie wybór, jakiego dokonałam, pozostawał czymś niespotykanym, i na pewno nie tego pragnął dla mnie ojciec.

Byliśmy dumną rodziną artystów. Mój dziadek śpiewał w Operze Warszawskiej tenorem tak pięknym, że król Polski nazwał go swoim słowikiem. Ojciec miał nadzieję, że stworzymy artystyczną dynastię, jak członkowie rodziny Petipów czy Gerdtów, z których wszyscy, ojcowie i dzieci, pracowali w Teatrze Maryjskim i wstąpili w związki małżeńskie z osobami z teatralnego baletu. Mój brat Józef był już wówczas żonaty z koryfejką Simą Astafjewą. Poza tym on, nasza siostra Julia i ja ukończyliśmy szkoły baletowe istniejące przy Teatrach Cesarskich. I wszyscy już jako dzieci tańczyliśmy partie marionetek, kupidynków, nimf i paziów w baletach wystawianych przez nasz zespół. Jako kupidynki nosiliśmy nakrycia głowy haftowane złotą nicią, a jako nimfy – girlandy z róż. Gdy tańczyliśmy partie sylfów i sylfid, udawaliśmy, że latamy. Do naszych kostiumów przyczepiano z tyłu metalowe kółko z liną, którą maszynista zwijał, kręcąc korbą, gdy chciał unieść nas do góry. Uśmiechaliśmy się wtedy, żeby ukryć przerażenie i wykonać wymagane gesty. Oglądaliśmy z łoży popołudniowe próby w wielkim Teatrze Maryjskim, czekając, aż sami będziemy mogli poćwiczyć. Czuliśmy się onieśmieleni w tym pustym

i cichym budynku o wielkich żyrandolach i pluszowych siedzeniach, osłoniętych od kurzu brązowym płótnem. Przed przedstawieniem przebieraliśmy się w kostiumy, a opiekunki różowały nam policzki tamponami z waty. Potem wypychały nas na scenę, a my wystrzegaliśmy się patrzenia na widownię o czterech kondygnacjach przyciągających wzrok złotem, bielą i błękitem, na parter, łożę i galerię, i staraliśmy się nie wdychać zapachu czekolady, skóry i tytoniu, lecz skupić się na rzeczywistości scenicznej.

Po ukończeniu szkoły wszyscy tańczyliśmy w Balcie Cesarskim, brat jako tancerz charakterystyczny, a siostra jako tancerka klasyczna. Julia była ode mnie o sześć lat starsza. Nazywano ją „Krzesińska I”, a mnie „Krzesińska II”, oczywiście tylko do czasu, gdy okazałam się od niej lepsza. Wówczas pozostała tylko Matylda Krzesińska.

Uzdolnienia członków rodziny traktowaliśmy jako nasze brylanty, rubiny i perły. Najbardziej utalentowany był ojciec, a jego umiejętności przejawiały się nie tylko na scenie, lecz także w zajęciach domowych. W wolnym czasie zbudował model petersburskiego Teatru Wielkiego, który już nie istnieje, w przeciwieństwie do jego miniaturowej kopii. Podobno jest ona prezentowana w Muzeum Teatralnym imienia Bachruszyna w Moskwie, obok gabloty z dziecięcymi baletkami, które miałam na nogach podczas pierwszego występu w Koniku Garbusku. Obu rzeczy nie widziałam od osiemdziesięciu lat! Pamiętam, że miniaturowy teatr był wyposażony w prawdziwe lampy naftowe na rampie i aksamitną kurtynę, a także w płócienne dekoracje, które podnosiły się i opadały w zależności od kierunku kręcenia korbką. Moja siostra Julia nigdy nie pozwoliła mi tego zrobić. Gdy tylko wyciągałam rękę w stronę korbki, biła mnie po dłoni. Uważała, że w naszym domu to ona o wszystkim decyduje.

Ojciec zbudował również duże szklane akwarium, które stało przy oknie w salonie. Na dnie umieścił miniaturowe kamienne ozdoby ogrodowe, tak że pływające wśród kolumn podwodnej rezydencji ryby przypominały kobiety poruszające się w swych barwnych strojach. On też zaprojektował wnętrza naszego przestronnego petersburskiego mieszkania przy prospekcie Litiejnym 38 i daczy w naszym majątku ziemskim Krasnowo. Wyburzył tam ściany jadalni, żeby ją powiększyć, a nad rzeką Orlinką wybudował banię. Mieliśmy tam gospodarstwo rolne, sad i ogród warzywny, a za nim las, gdzie rosło mnóstwo grzybów. Pamiętam, że ilekroć przyjeżdżaliśmy do Krasnowa, rodzice całowali ziemię. Nie byliśmy bogaci, ale pieniądze, które ojciec zarabiał jako główny tancerz charakterystyczny w naszym teatrze oraz nauczyciel mazura i walca dzieci arystokratów, w tym nawet z rodu Romanowów, zapewniały nam dostatnie życie.

Obchody świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy ojciec przemieniał w widowiska i uczyty. W Wigilię pościliśmy do czasu ukazania się na niebie pierwszej gwiazdy. Wówczas zasiadaliśmy do wieczerzy złożonej z trzynastu dań rybnych, które tata sam przyrządzał.

Oczywiście mieliśmy kucharkę, ale to był szczególny dzień. Ojciec, prawdziwy artysta sztuki kulinarnej, przygotowywał między innymi polskie danie, czyli zupę rybną ze śmietaną, według przepisu, którego nikomu nie zdradził. Gdy on ciężko pracował w kuchni, my mieliśmy czas na zabawy, takie jak ruczejok, podobny do „mostu londyńskiego^[4]”, czy czecharda, podczas której uczestnicy skakali jeden przez drugiego. Na naszej choince paliły się świece i błyszczały szklane gruszki. Od góry do dołu ozdabiały ją srebrzyste anielskie włosy oraz gwiazdy i anioły ze złocistego papieru. W Nowy Rok piliśmy gorący szwedzki poncz i jedliśmy placek z jabłkami, a na Wielkanoc ojciec piekł dwanaście kuliczy, po jednym dla każdego apostoła. Te rosyjskie baby paschalne miały wysokość cylindrów i każda była inaczej polukrowana, ozdobiona owocami i cukierkami. Chodziłam wokół świątecznego stołu i podziwiałam piękną dekorację każdej z nich: fleur-de-lis z plasterków truskawek, grzbiet fali z białego lukru czy płotek z maleńkich chorągiewek na wykałaczkach. We Francji starzy rosyjscy emigranci pieką kulicze w puszkach po kawie, żeby ciasto dobrze wyrosło.

Dla ojca świat był teatrem i nie znałam wspanialszej inscenizacji niż ta, którą przygotowywał w naszej daczce na moje sierpniowe urodziny. Punktem kulminacyjnym przyjęcia, które urządzał, był pokaz fajerwerków własnej roboty. Siedziałam na honorowym miejscu przy zastawionym łakociami stole. Kiedyś nad moim krzesłem, na sznurku przymocowanym do haka w suficie zawiesił wianek i gdy podano mi deser, zaczął powoli opuszczać ozdobę, aż znalazła się na mojej głowie. Moje starsze rodzeństwo oraz bracia przyrodni nagrodzili to brawami. Rosyjskie dziewczęta uwielbiają więc sobie wianki, dlatego ojciec przygotował go dla mnie.

Nawet chłopcy z pobliskich wsi, którzy kosili nam siano i zajmowali się krowami, przynosili mi prezenty – koszyki z jajkami zawiniętymi w płócienne serwetki, haftowane czerwonymi krzyżykami – a wręczając je, kłaniali nam się w pas. Niektórzy z nich jeszcze dziesięć lat wcześniej byli chłopami pańszczyźnianymi – właśnie wtedy od pańszczyzny uwolnił ich Aleksander II, dziadek Nikiego. Wciąż jednak zachowywali nawyki z tamtego okresu i zginali przed nami karki jak przed swoimi panami.

W czasie długich dni sianokosów, a także zbierania w lesie grzybów i owoców leśnych życie chłopca i jego pana było w nierozdzielny sposób ze sobą splecione. Chłopskie dzieci stawały się wtedy towarzyszami zabaw dzieci pańskich. Kto nie pamięta gry w gorodki przy użyciu drewnianych klocek, kija lub piłki, gry w babki, w której wykorzystuje się każdy skrawek znalezionej metalu, albo w bory, czyli w berka? Mieliśmy czarne od brudu stopy, bo wszędzie biegaliśmy boso. Pamiętam, że najmłodsze dzieci kąpano nagie w naszej dawnej bani. W niedzielę chłopcy przychodzili do nas na obiad lub podwieczorek. Gdy my wracaliśmy do Petersburga, oni zaczynali żniwa, a potem młócili zboże. Ja

uczyłam się sztuki baletowej, a oni zbierali plony z pól i wykonywali inne prace gospodarskie. Kiedyś w czasie letnich wakacji tak przytyłam, jedząc duże posiłki, że w szkole nauczycielka tańca zbeształa mnie, że stałam się „okropnie gruba”. Ale co można zrobić na wsi, jeśli nie bawić się i jeść?

Zaraz... Straciłam wątek. Teraz często mi się to zdarza.

A zatem to chłopki jako mamki i piastunki wychowywały szlacheckie dzieci, przekazywały im kulturę ludową i uczyły baśni, grały z nimi w karty i w inne gry, kładły je do łóżka, towarzyszyły im w czasie pobytu w mieście i płakały, gdy ich wychowankowie wyjeżdżali do lycée lub wstępowali do Gwardii Imperium Rosyjskiego. A później rodziny tych wychowanków i oni sami troszczyli się o nie jak o starzejące się krewne. Siergiej Diagilew zabrał swoją dawną nianię do Petersburga, gdy przeniósł się tam jako dorosły mężczyzna!

Oczywiście my dysponowaliśmy znacznie skromniejszymi środkami finansowymi i żadne z małych Krzezińskich nie miało niani. Wychowywali nas rodzice i robili to z poświęceniem. Czy stwierdzenie, że z czwórki dzieci akurat ja byłam ulubienicą ojca, to coś niewłaściwego? Oni wszyscy już nie żyją. Ich twarze zniknęły w ciemnych grobach. Mój brat Józef zmarł w 1942 roku, Stanisław w 1864, ponad sto lat temu, w wieku czterech lat, osiem lat przed moimi narodzinami. Fascynował mnie ten brat, z którym nie miałam szansy się zetknąć. Czasami długo wpatrywałam się w jego zdjęcie oprawione w srebrną ramkę, które matka trzymała na toalecie, jakbym w ten sposób mogła dowiedzieć się, jaki był. Tylko on wyglądał tak jak ona, bo my troje przypominaliśmy ojca – każde z nas miało pociągłą twarz, prosty nos i blisko osadzone oczy. Moja siostra Julia zmarła przed dwoma laty w wieku stu dwóch lat w wigilię prawosławnego Bożego Narodzenia, między siódmą a ósmą wieczorem, w tym pokoju. Po śmierci naszych mężów znowu mieszkałyśmy razem, jak w czasach dzieciństwa i wczesnej młodości. Ojciec dożył osiemdziesięciu trzech lat. Członkowie naszej rodziny są długowieczni, w przeciwieństwie do rodziny Romanowów. Ale oczywiście długowieczność nie oznacza nieśmiertelności. Gwarantuje tylko cierpienie po stracie tych, których się kochało, toteż kiedy w końcu przychodzi śmierć, jest się na nią więcej niż gotowym.

Nie spisuję tego wszystkiego sama. Ja to tylko opowiadam. W zeszłym roku miałam dwa zawały. Odpowiedzi na listy dyktuję i podpisuję je inicjałami MRK ręką tak drżącą, że te trzy litery dobitnie świadczą o moim podeszłym wieku. Kiedyś kaligrafowałam drobniutkie literki, a teraz stawiam oddzielne duże kulfony, jak małe dziecko. Ale nie proszę nikogo o pomoc, dopóki nie jestem pewna, co chcę ludziom przekazać. Bo zostało nas tak mało – tych, którzy pamiętają, jak było. Po wybuchu rewolucji w 1917 roku trzy

miliony z nas uciekło do Berlina, Paryża i Nowego Jorku, gdzie trzymaliśmy się razem, rozmawiając po rosyjsku, czytając Bunina, Tołstoja i Achmatową, wszystkich przypominających nam, jak wcześniej wyglądało życie, a nie pisarzy zdrajców – tych, którzy pokochali bolszewików. Jedliśmy rosyjskie śniadania – herbatę ze śmietanką, szynkę, ser i jaja na twardo, a w Wielkanoc uczestniczyliśmy w nocnej jutrzni paschalnej. Razem chodziliśmy do teatrów, gdzie występowali aktorzy, pieśniarze i muzycy, którzy przed wybuchem rewolucji pracowali w wielkich Teatrach Cesarskich, a latem jeździliśmy na Riwierę, starając się żyć jak przedtem. Tak mówiliśmy: „jak przedtem”. Wszystko, co robiliśmy, staraliśmy się robić „jak przedtem”. Czekaliśmy na powrót Rosji. Wiedzieliśmy, że zostanie nam zwrócona. Ale w trakcie tego oczekiwania śmierć zabierała nas jedno po drugim, i nasze dzieci, które dorosły w obcych miastach, nie znają Petersburga i Moskwy, które, jak ujmuje to poeta Iwanow, „zniknęły w nocy”.

Tak, o pewnych rzeczach nikt się nie dowie, jeśli o nich nie opowiem. A kiedy całkiem stracę pamięć, to nawet ja nie będę już o nich wiedziała. Pozostaną tylko pogłoski, w których zniknie prawda.

Pamiętam Carewicza i siebie oraz nasze wspólne losy z okresu po przejeździe trojką, w każdym szczególe. Nie pamiętam natomiast nazwisk dziewcząt, które uczyłam w mojej szkole baletowej jeszcze siedem lat temu.

[4] Chodzi o znaną zabawę, w którą bawią się dzieci w trakcie śpiewania piosenki London Bridge is falling down (Most Londyński się wali).

Wszystko było dostosowane do gustu panującego na carskim dworze

GDY WRÓCILIŚMY Z KRASNEGO SIOŁA, Carewicz po raz pierwszy odwiedził mnie w domu. Julia i ja miałyśmy do dyspozycji salonik przylegający do sypialni. Jego drugie drzwi prowadziły do głównego holu, co w pewnym stopniu gwarantowało nam prywatność, gdy przyjmowałyśmy gości. Jako osobom pełnoletnim – ja skończyłam osiemnaście lat, siostra dwadzieścia cztery – wolno nam było już to robić. Nie mogłyśmy jednak podejmować gości posiłkiem, bo kucharka słuchała tylko poleceń rodziców! Tymczasem obie, podobnie jak nasz ojciec, lubiłyśmy biesiadować. Na szczęście rodzice pozwalali starszej ode mnie o sześć lat Julii odgrywać rolę gospodyni i mojej przyzwoitki, gdy sami udawali się na spoczynek. Niektórzy spośród młodych oficerów Gwardii, ujrzawszy nas na scenie, stawali się naszymi wielbicielami i odwiedzali nas w domu w te wieczory, kiedy nie występowałyśmy. Byłyśmy dorosłe i nie musiałyśmy już wykrzykiwać naszych imion ze szkolnego powozu. Mężczyźni mogli spoglądać na nas zmysłowo w trakcie spektaklu i składać nam wizyty w domu.

Moja siostra związała się z Alim, to jest baronem Aleksandrem Zeddelerem z Lejb-Gwardyjskiego Preobrażeńskie Pułku Jego Wysokości, pochodzącym z rodu służącego carom od stu lat, czyli stworzyła w naszej rodzinie swego rodzaju precedens, jeśli chodzi o swobodne związki damsko-męskie. Ali wytrwale ją adorował, a w końcu został jej oficjalnym protektorem. Jej wybrankiem nie był więc żaden z kolegów z zespołu, a ja, naśladowca ją we wszystkim, postanowiłam pójść w jej ślady. Więcej – starałam się ją pod każdym względem prześcignąć. Byłam od niej ładniejsza i szybciej pięłam się po szczeblach artystycznej kariery. Jeśli więc do niej zalecał się baron, ja chciałam zdobyć Carewicza. Nie ma większej przyjemności, niż zwyciężyć w rywalizacji z własną siostrą, i większego smutku, niż spowodowany jej cierpieniem z tego powodu. Tamtego roku napisałam w dzienniku o Mikołaju: „Będzie mój!”. Tak, użyłam wykrzyknika.

W pewien marcowy wieczór pokojówka otworzyła drzwi naszego saloniku i zaanonsowała oficera Eugeniusza Wołkowa, ale w progu stanął Mikołaj Romanow. Był ubrany w długi szary płaszcz, dlatego pokojówka nie rozpoznała w nim Carewicza. Zresztą nigdy wcześniej nie widziała rosyjskiego następcy tronu. Choć nawet ci, którzy spotkali Nikiego, potrafili pomylić go z kimś innym. Jego przyjaciele, Eugeniusz Wołkow

i Wołodia Swieczin, byli do niego niezwykle podobni i często brano ich za Carewicza. Swieczin, który strzygł się tak samo jak Niki i nosił taką samą brodę, uwielbiał, gdy na jego widok petersburżanie zatrzymywali się i spoglądali w bok, biorąc go za Mikołaja, któremu jako suwerenowi nie mieli prawa patrzeć w oczy.

Nawet jako carowi Nikiemu udawało się czasem podróżować incognito. Kto rozpoznałby cara, gdyby pojawił się przed nim bez zapowiedzi? Jeśli zdarzyłoby się to przed bolszom wychodom z Pałacu Zimowego, w otoczeniu powozów, kozaków i wielkich ksiąząt w mundurach, zapewne każdy, ale bez całego tego otoczenia prawdopodobnie niewielu. Nikiego czasami nie poznawali nawet członkowie jego Gwardii. Na przykład gdy wiele lat później na Krymie testował w plenerze nowy mundur wojskowy, wartownik zatrzymał go przed bramą rezydencji.

– Nie może pan tam wejść – usłyszał.

Po tych słowach car Wszechrusi odwrócił się i odszedł w milczeniu.

Pewnie trudno dziś uwierzyć, że poddani mogli nie znać twarzy cara lub jego następcy, ale wówczas aparat fotograficzny nie był tak popularny jak obecnie. Ja mam tylko kilka swoich fotografii sprzed trzydziestego roku życia. I choć wszyscy członkowie cesarskiej rodziny posiadali aparaty i wieczorami wklejali zdjęcia do albumów, były to zdjęcia prywatne. Car niemal nie pokazywał się publicznie. Ludzie znali wprawdzie przedstawiające go malowane fotografie lub barwne litografie, lecz były to wizerunki wyidealizowane.

Nic więc dziwnego, że nasza pokojówka nie zorientowała się, z kim ma do czynienia. Mikołaj nie chciał wystąpić pod swoim nazwiskiem, ponieważ ani wówczas, ani później nie żywił wobec mnie uczciwych zamiarów. Wtedy jednak o to nie dbałam i spędziłam z „panem Wołkowem” cały wieczór na towarzyskiej pogawędce, której sztukę doskonale opanowałam jeszcze przed czternastym rokiem życia. Wówczas to po raz pierwszy flirtowałam, z angielskim chłopcem o nazwisku McPherson – imienia dziś już nie pamiętam. Odwiedził nas latem na dacy, a ja tak skutecznie go kokietowałam, że zniweczyłam jego zaręczyny. Najwyraźniej i Carewicz dobrze się bawił w moim towarzystwie, bo następnego dnia przysłał mi liścik skreślony na kremowej pałacowej papeterii ze złotą koroną nad jego niebieskozielonym monogramem. Napisał: „Od czasu, gdy panią spotkałem, żyję jak we mgle”^[5]. Usidliłam go jak McPhersona. Niki zawsze lepiej wysławał się w listach niż w bezpośredniej rozmowie, choć trudno to stwierdzić na podstawie jego lakonicznych i nudnych jak raport detektywa dzienników.

Skoro już raz odwiedził mnie w domu – a jak wyznał, obawiał się, że będzie to krępujące ze względu na moich rodziców – zaczął bywać u nas regularnie. Rodzice w żaden sposób nie zakłócali wizyt gości w naszym saloniku. Czy ktokolwiek mógł zwrócić

Carewiczowi uwagę na zbyt późną porę lub głośne zachowanie? A zdarzało nam się hałasować, bo czasami Niki przychodził z kolegami oficerami: hrabią Andrzejem Czuwałowem, z rzeczywistym Eugeniuszem Wołkowem i Aleksandrem Zeddelerem. Jego towarzyszami bywali też przystojni młodzi kuzyni – wielcy książęta: Jerzy, Aleksander, zwany Sandrem, i Sergiusz, synowie Michała, stryjecznego dziadka Nikiego, czyli Michajłowiczowie (to za pomocą otczestwa rozróżnialiśmy poszczególne gałęzie rodu Romanowów). Niki, Jerzy, Sandro i Sergiusz stworzyli dla żartu Klub Ziemniaków. Nazwa ta upamiętniała pewne zdarzenie podczas konnej przejażdżki. Dwaj z nich skręcili wtedy w zagon ziemniaków, pozostali dwaj stracili ich z oczu i któryś zawołał do przechodzącego chłopca:

– Dokąd oni pojechali?!

– Skręcili w ziemniaki! – usłyszeli w odpowiedzi.

Na znak braterstwa każdy z nich nosił odtąd na szyi złoty wisiołek w kształcie ziemniaka.

Najprzystojniejszy z braci, Sandro, był też bardzo elokwentny i szalenie ambitny, co sprawiło, że adorował siostrę Nikiego Ksenię, swoją daleką kuzynkę. Najnudniejszy spośród nich trzech, małomówny Jerzy, kolekcjonował wszelkiego rodzaju monety i bardzo wcześnie wyłysiał. Był jeszcze czwarty brat, Mikołaj, który preferował kontakty z mężczyznami. Został znanym historykiem i zginął później z rozkazu Lenina, który stwierdził, że „rewolucja nie potrzebuje historyków”.

Najbardziej lubiłam Sergiusza. Dość przystojny, miał blond włosy i jasne, szeroko osadzone oczy. Potrafił być humorzasty, co dobrze znałam z teatru, ale umiał też lepiej niż inni bawić towarzystwo, skory do psikusów i figli. W tamtych czasach jego ulubione wyrażenie brzmiało: tant pis – „tym gorzej”, ale w moim domu nigdy się nie smuciliśmy. Śmialiśmy się, rozmawialiśmy i graliśmy w bakarata, klaskaliśmy w rytm śpiewanych przez Michajłowiczów gruzińskich pieśni. Poznali je bardzo dobrze w okresie dwudziestoletniej służby ich ojca jako generała-gubernatora w Tyflisie (obecnie Tbilisi).

Gubernia tyfliska znajdowała się tak blisko Turcji i Persji, że wystarczyło, by młodzi Michajłowicze z okna białego pałacu w stylu włoskim, gdzie mieszkał ich ojciec z rodziną, wyjrzeli na prospekt Gołowiński, żeby zobaczyli muły i wielbłądy, mężczyzn w czarnych fezach i z szablami u pasa, spieszących na targ lub po radę do generała-gubernatora, i kobiety o ufarbowanych na rudo włosach, w wysokich aksamitnych nakryciach głowy z doczepionymi do nich ozdobnymi szalami i kilkudziesięcioma srebrnymi lub złotymi naszyjnikami na szyi. Wiezorami ludzie ci opuszczali swoje słomiane chaty, gdzie na klepiskach leżały dywany, czy pobielone wapnem ziemianki, i udawali się do pałacu na wydawaną codziennie przez gubernatora kolację dla czterdziestu osób. Ojciec

Michajłowiczów miał także wiejską posiadłość w Bordzomi, majątek o powierzchni dwustu tysięcy akrów, tak ogromny, że w ciągu dnia nie dało się przejechać konno z jednego krańca na drugi. Nad nieskończoną przestrzenią stepu niczym monumentalny Budda wznosiła się ośnieżona góra Kazbek, swą wielkością uświadamiając ludziom, gdzie ich miejsce. Ale Romanowom dopiero rewolucja miała to pokazać.

Pozostali członkowie rodu spoglądali na Michajłowiczów trochę krzywo, jakby stali się oni zbyt podobni do nieokiełznanych Gruzinów, których nadzorowali na Kaukazie. Ojciec Nikiego bardzo się starał zrussyfikować tę część imperium, odmawiając jej mieszkańcom prawa do własnego języka. Nawet małe dzieci musiały mówić w szkole po rosyjsku, a w razie nieposłuszeństwa kazano im stać przez cały ranek w kącie i trzymać w górze ciężką deskę, czego jako uczeń doświadczył Stalin. Ale język gruziński przetrwał, a Michajłowicze się go nauczyli. Pamiętam jedną z pieśni, które śpiewali – zapadła mi w pamięć z powodu orientalnej melodii. Opowiadała o królowej, która zniewalającym głosem przyciągała do siebie kochanków jak mitologiczna syrena, choć nie spoczywała na morskich skałach, lecz w pełnej poduszek sypialni w zamku nad rzeką Terek. A kiedy już nasyciła się urodą kolejnego mężczyzny, mordowała go i wrzucała jego ciało do rwącej rzeki.

Sergiusz miał najgłębszy głos w porównaniu ze swoimi trzema braćmi, a gdy śpiewał wraz z nimi tę pieśń, spoglądał na mnie tak, jakbym to ja była bezduszną syreną! Niki powiedział mi, że Sergiusz kocha się w jego siostrze Kseni, ale trzyma się od niej z daleka z powodu Sandra, który zabiega o nią z wielką determinacją i ku któremu ona najwyraźniej się skłania. Muszę wyjaśnić, że Sergiusz był najmniej przystojny spośród braci, a Sandro najbardziej przyciągał wzrok i prawdopodobnie dlatego to jego wołała trzpiotka Ksenia.

Kobiety czasami dokuczały Sergiuszowi i jak mali szkolni prześladowcy pytały: „Dlaczego jesteś taki brzydki?” – choć nie było to prawdą.

Ciąg dalszy w wersji pełnej

[5] Cyt. za: Edward Radziński, Jak naprawdę zginął car Mikołaj II, przeł. z języka ros. Eugenia Siemaszkiewicz, Warszawski Dom Wydawniczy, Warszawa 1994, s. 47.

Była jego lalką, która ożyła

Dostępne w wersji pełnej

Mam dwadzieścia jeden lat i moje życie jest skończone

Dostępne w wersji pełnej

Dusza i umysł, ciało i serce

Dostępne w wersji pełnej

Car powinien umrzeć w Rosji

Dostępne w wersji pełnej

Bajadera

Dostępne w wersji pełnej

Cesarz i samowładca Wszechrusi

Dostępne w wersji pełnej

Berło i jabłko

Dostępne w wersji pełnej

Wspaniała Matylda

Dostępne w wersji pełnej

Moja idylla nie będzie krótka

Dostępne w wersji pełnej

Czarodziejskie zwierciadło

Dostępne w wersji pełnej

Krzesiwo do hubki

Dostępne w wersji pełnej

Ballets Russes

Dostępne w wersji pełnej

Jak żyła arystokracja do rewolucji z 1917 roku

Dostępne w wersji pełnej

Zobacz, jak cierpimy

Dostępne w wersji pełnej

Życie za cara

Dostępne w wersji pełnej

Ołowiane żołnierzyki

Dostępne w wersji pełnej

Dojdzie do morderstw

Dostępne w wersji pełnej

Cesarz Władimir

Dostępne w wersji pełnej

Maskarada

Dostępne w wersji pełnej

Kwaśne Wody

Dostępne w wersji pełnej

Gwardziści śpiewają: „Boże, zachowaj cara!”

Dostępne w wersji pełnej

Przerażające nic

Dostępne w wersji pełnej

Księżna Romanowska-Kraśińska

Dostępne w wersji pełnej

Dzień chwały jest bliski

Dostępne w wersji pełnej

Podziękowania

Dostępne w wersji pełnej

THE TRUE MEMOIRS OF LITTLE K by Adrienne Sharp.
Copyright © 2010 by Adrienne Sharp. By arrangement with the author.
All rights reserved.

© Copyright for the Polish translation by Bożenna Stokłosa, 2012

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo
„Nasza Księgarnia”, Warszawa 2012

Projekt okładki Krzysztof Kibart

Zdjęcia na okładce:

© iStockphoto.com | mikhail pogosov

© Valery Shanin | Dreamstime.com

Redaktor prowadzący Katarzyna Piętka

Opieka merytoryczna Magdalena Korobkiewicz

Redakcja Anna Brynkus-Weber, Magdalena Majewska

Korekta Roma Sachnowska, Baharat Joanna Morawska

Przygotowanie pliku do konwersji Agnieszka Dwilińska-Łuc

ISBN 978-83-10-12391-6

Plik wyprodukowany na podstawie Prawdziwe wspomnienia Mali K.,
Warszawa 2012



www.wnk.com.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: wnk@wnk.com.pl



Plik ePub opracowany przez firmę eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

ADRIENNE SHARP



Prawdziwe
wspomnienia Mali K.

*Niezwykłe losy polskiej primabaleriny,
która rozkochała w sobie ostatniego cara Rosji*

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).